

Bombardować wszystko, co się rusza

30 grudnia 2019

Gdy kończy się rok i nadchodzi czas podsumowań, warto przypomnieć światu, że mieliśmy w 2019 r. okrągłą, pięćdziesięcioletnią rocznicę zbrodni, o której mało kto pamięta.

Hasło „Czerwoni Khmerzy” jeszcze wielu coś mówi. O amerykańskiej agresji lotniczej na Kambodżę słyszeli tylko najbardziej zainteresowani historią. Mało kto więc wie, że zanim w Phnom Penh zaczęła działać skrajnie agresywna, fundamentalistyczna w swoim rewolucjonizmie siła, na biedny, rolniczy kraj w Indochinach z całą bezwzględnością napadło światowe mocarstwo. I bez tej napaści nie da się zrozumieć dalszych wydarzeń.

Późniejszy laureat Pokojowej Nagrody Nobla – jakież to „chichot historii” – ówczesny sekretarz stanu USA Henry Kissinger tak oto określił cele interwencji: „bombardować wszystko, co się rusza”. Wiosną 1969 r. ruszyły najpierw pojedyncze rajdy, potem rozpoczęły się tzw. naloty dywanowe na Kambodżę, równające z ziemią faktycznie wszystko, co przedstawiało sobą jakiegokolwiek oznaki ludzkiej działalności. A jako że poza stołecznym Phnom Penh ówczesna Kambodża była typowym trzecioświatowym państwem rolniczym, ze zdecydowaną przewagą ludności wiejskiej, bomby spadały na wioski z chatami krytymi liśćmi palmowymi, pola ryżowe, kanały irygacyjne. W latach 1969-1971 zrzucono na wiejską część głównie wschodniej Kambodży ekwiwalent 5 bomb z Hiroszimy. Według szacunków niezależnej Rządowej Komisji Dochodzeniowej z Finlandii Amerykanie rzucili na Kambodżę 2 756 941 bomb różnego kalibru. Jest to 1,5 razy więcej niż na III Rzeszę w czasie II wojny światowej. Obracali w totalną perzynę wioskę za wioską, a następne naloty zacierały ślad nawet po gruzach i trupach. Z

powietrza widać było gigantyczne naszyjniki, tworzone przez krwawe leje po bombach. Przerazenie i żądza zemsty były w ocalałych niewyobrażalne.

Jak Waszyngton uzasadniał potrzebę napaści na Kambodżę? Kraj ten miał być zapleczem dla partyzantki Vietcongu działającej głównie w Wietnamie Południowym, która z kolei walczyła z proamerykańską juntą w Sajgonie i amerykańską interwencją na Półwyspie Indochińskim, zakładając zjednoczenie Wietnamu pod egidą Hanoi. Innymi słowy: niewygodny dla Ameryki ruch narodowowyzwoleńczy i wszyscy, którzy z nim choćby potencjalnie współpracowali, mieli zostać starci z powierzchni ziemi.

Brytyjski nestor dziennikarstwa, reportażysta wojenny, autor wielu filmów dokumentalnych, działacz antywojenny John Pilger nazywa dwie amerykańskie operacje lotnicze w Kambodży powietrznym barbarzyństwem. To on zwraca uwagę na fakt umykający większości komentatorów zachodnich: właśnie owo barbarzyństwo, trwające cztery lata bombardowania doprowadziły do władzy Pol Pota i Czerwonych Khmerów. Kim bowiem oni byli na początku swej działalności? Mieli mniej niż 5 000 źle uzbrojonych partyzantów, niepewnych swojej strategii, taktyki, lojalności i przywódców. Byli po prostu grupami luźno powiązanych band i rzezimieszków, jakich było pełno w krajach dopiero co wyzwolonych z pęt kolonializmu.

□

Ale kiedy Amerykanie za pomocą bombowców B-52 rozpoczęli metodyczne niszczenie Kambodży, sytuacja się zmieniła. Jeden z wysoko postawionych członków kierownictwa Czerwonych Khmerów w dokumencie Pilgera opisuje, jak ocaleni z jatki wieśniacy, po kilkudniowej tułaczce po dżungli i zniszczonych polach ryżowych, przerażeni i ogłupiali, gotowi byli uwierzyć we wszystko, co się im powie. To właśnie pozwoliło Czerwonym Khmerom pozyskać poparcie dla ich programu politycznego i społecznych rozwiązań. Obsadzenie przez Amerykanów rządów w

Phnom Penh powolnymi sobie wojskowymi – premier gen. Lon Nol – i przejście symbolu walki o niepodległości księcia Norodoma Sihanouka na stronę Khmerów spowodowało wybuch wojny domowej. Pod jankeskimi bombami Czerwoni Khmerzy wyrosli na budzącą przerażenie i strach dwustutysięczną armię. Jej zwycięstwo nie przyniosło jednak krajowi szczęścia. Pol Pot kontynuował to, co zaczęli Nixon i Kissinger.

50 lat temu bombardowania Kambodży przez Amerykanów puściły w ruch cierpienia, z którym kraj ten walczy po dziś dzień. Zmieniają się systemy, nie kończy się niesprawiedliwość. Dlaczego przypomniałem sobie o Indochinach właśnie teraz? Bo słucham doniesień z Libii czy z Iraku, pamiętam Somalię i Bałkany. I wszędzie widzę, jak amerykański cowboy w saloonie (albo inny przedstawiciel „zachodniej cywilizacji”) najpierw strzela, potem patrzy na efekty i dopiero na koniec, jeśli potrafi, myśli. Gdy przypominam sobie triumf Czerwonych Khmerów, narzucają się analogie z genezą, istnieniem i funkcjonowaniem tzw. Państwa Islamskiego w Iraku i Syrii. Oba te ruchy, charakteryzujące się apokaliptyczną wręcz bezwzględnością, zaczynały jako małe i wojownicze, lecz pozbawione większego znaczenia politycznego i społecznego, sekty. Wypłynęły na szerokie wody dzięki przemocy zorganizowanej przez obcych interwentów.

Jedno się tylko zmieniło. Kissinger, mówiąc o bombardowaniu, był morderczo i cynicznie szczery. Dzisiejszych medialnych propagandystów na to nie stać. Gdy zaczyna się kolejna wojenna awantura Amerykanów, kłamią tylko o humanitarnych pobudkach i budowaniu demokracji. A potem jest to, co zawsze. Barbarzyństwo.

Autorstwo: Radosław Czarnecki

Źródło: Strajk.eu